



Joanna Wiszniewicz - "Życie przecięte. Opowieści pokolenia Marca"

"Życie przecięte. Opowieści pokolenia Marca" to trzydzieści długich i pełnych emocji rozmów Autorki z przedstawicielami pierwszego powojennego pokolenia polskich Żydów, którzy urodzili się i wychowali w różnych miastach i miasteczkach komunistycznej Polski, tu przeżyli Marzec - swoje pierwsze i podstawowe generacyjne doświadczenie - a obecnie mieszkają albo nadal w Polsce albo, wyemigrowawszy po Marcu '68, w USA.

Ten niezwykle ciekawy dokument - oparty na rozmowach wybranych ze zgromadzonej przez Autorkę w latach dziewięćdziesiątych dużo szerszej kolekcji wielogodzinnych i wielodniowych wywiadów typu "oral history" - jako pierwszy, jak dotąd, penetruje tak głęboko i na tak szeroką skalę powojenne przemiany i komplikacje losów i tożsamości polskich Żydów. Za pośrednictwem relacji Rozmówców, (którzy opisują swoje losy na szerokim historycznym i socjologicznym tle) książka wprowadza Czytelnika do różnych środowisk żydowskich i pokazuje różne aspekty powojennego doświadczenia polskich Żydów, nie ograniczając się jedynie do portretowania pierwszej postholocaustowej generacji, ale prezentując też zaobserwowane przez Rozmówców (i pełne sprzeczności) postawy ich rodziców - Ocalańców wobec żydostwa, a także postawy ich dzieci (dziś dwudziesto-trzydziestoletnich), których żydostwo jest zaskakujące dla Rozmówców śmiało i demonstracyjnie.

"Z rozmów Joanny Wiszniewicz wyłaniają się różnorodne, fascynujące losy ludzkie, rozmaite drogi życiowe, i odmienne sposoby zmagania się z doznaną krzywdą. Myślę, że nie można tej krzywdy w żaden sposób naprawić, ale można o niej mówić i można pozwolić mówić ludziom, którzy jej doznali. Można dopuścić ich do głosu. Takim właśnie - ważnym, mocnym głosem jest książka Joanny Wiszniewicz."

Barbara Engelking-Boni

"Joanna Wiszniewicz nie próbuje kategoryzować: ci z prowincji tak, a tamci inaczej, ci z wyżyn komunistycznych – jedno, a inni – odwrotnie. Przeciwnie, pokazuje całą różnorodność postaw i losów. Nie ocenia żadnej z nich. Z równą empatią wysłuchuje kogoś, dla kogo daleka Polska pozostała na zawsze podstawowym punktem odniesienia, jak i kogoś, kto stara się wyrzucić z pamięci swoje związki z miejscem urodzenia.

Ważna część historii polskiej XX wieku została przedstawiona w sposób dociekliwy i niezwykle wciągający. Książka wpisuje się w żywy nurt oral history, który z trudem, ale jednak, przebija się wreszcie i w Polsce."

Anna Bikont

Joanna Wiszniewicz - z wykształcenia polonistka. Pracuje w Żydowskim Instytucie Historycznym. Zajmuje się problemem tożsamości polskich Żydów, zwłaszcza powojennej generacji. Do tej pory opublikowała książki: *Z Polski do Izraela. Rozmowy z pokoleniem '68* oraz *A jednak czasem mówiam sny. Historia pewnej samotności Joannie Wiszniewicz opowiedziana* (książka wyróżniona w konkursie literackim Fundacji Kultury 1996 i opublikowana po angielsku przez Northwestern University Press (*And Yet I Still Have Dreams. A Story of a Certain Loneliness*, Northwestern University Press, Evanston, Illinois 2004). Opublikowała również szereg tekstów naukowych, min. *Pierwsze powojenne pokolenie polskich Żydów. Rodzicielski przekaz pamięci Holocaustu a tożsamość żydowska* („Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego” nr 3/1999) oraz *Dzieci i młodzież pochodzenia żydowskiego w szkołach śródmiejskich Warszawy lat sześćdziesiątych XX wieku* „ResPublica Nowa” nr 1/2004).

MAREK

(imię bohatera zmienione)

Niemcza, Legnica, Wrocław

W Niemczech wszyscy Żydzi trzymali się razem. Bo się bali. Moi rodzice też: trzęśli się, żeby nas Polacy nie zabili. Bo podobno partyzantka polonijńska Żydów w lasach rozstrzeliwała (tak matka mówiła) i dzieci zawsze miały być pod ochroną, zawsze niedaleko. I imiona musieliśmy mieć całkiem nieżydowskie! Ona starała się, żeby u nas nic żydowskiego nie było.

W czterdziestym dziewiątym, kiedy przenieśliśmy się z Niemczech do Legnicy (bo rodzice chcieli być, gdzie rosyjska armia stacjonuje i bezpieczniej), matka wciąż nas przestrzegała: „Uważajcie! Legnica to katolickie miasto, a Polacy mają uprzedzenia religijne i antysemickie!”. Mieliśmy się z naszym żydostwem nie obnosić, ale to się i tak na nic nie zdało, bo za mną dzieci na ulicy niejednemu raz „Żydek-Żydek” wrzeszczeli. We wczesnym dzieciństwie to, że jestem Żydem, nie znaczyło dla mnie nic pozytywnego. Kiedyś poszedłem do kolegi upomnieć się o finkę, którą ode mnie pożyczył, to mi jego matka mówi: „Masz i zabierz ją sobie do Izraela!” (a co Izrael miał tutaj do rzeczy?). Innym razem chciałem zaprosić do kina dziewczynę z piętra pod nami (bardzo ładna, bardzo mi się podobała i chciała ze mną iść, chciała!), to jej siostra i rodzina zabronili: „Nie wychodź z nim, bo to są Żydzi!”. Moja mama, jak jej o tym powiedziałem, z oburzenia mało co sufitu nie rozwaliała! Ale mówiła mi, że mam być cicho: „Nie daj im tej satysfakcji, że cię tak zdenerwowali!”. Bo w niej była taka kombinacja strachu i agresywności: z jednej strony mieliśmy się nie obnosić z żydostwem, ale z drugiej nie wolno pozwolić, żeby na ciebie napluli. Ojciec, inaczej niż mama, nie bał się żydostwa i je lubił: listy po żydowsku pisał, książki w jidysz czytał, w amatorskim teatrze przy TSKŻ-cie grywał i nawet tam z mamą na wieczorki taneczne chodzili (choć ona się wiecznie bała!). On był bardziej otwarty. W czasie tułaczki wojennej w Rosji zaprzyjaźnił się z Uralem z niemieckimi jeńcami (oni organizowali dla niego mięso z rzeźni, a on im z warsztatów szewskich podbierał skórę na buty, żeby mogli pozałatać). Rosyjski naród rozumiał także, szanował i lubił tego prostego Ruskiego, który zawsze, cokolwiek się dzieje, swoją głowę kładzie, uważał, słusznie pewnie, że Rosja mu życie uratowała. Do Polaków także nie czuł żalu ani dystansu, przywiązany do Polski i polskiej kultury – ale przestrzegał nas, że z nie-Żydem mamy być bardziej uczciwi niż z Żydem. Bo nie-Żyd zawsze będzie w tobie głównie widział Żyda. Tak jak w tej „Sprawie żydowskiej” Sartre’a: że kiedy żydowski krawiec jedną panią na forsy naciągnął, to powiedziała: „Wszyscy Żydzi są złodzieje”. Nawet nie „wszyscy krawcy”, tylko „wszyscy Żydzi” właśnie.

Ja tych pouczeń ojca i matki słuchałem. I pewnie dlatego nikt mnie z powodu antysemityzmu nigdy nie zbił ani mi nie nakopał. Żydostwo było dla mnie jako ten fakt życia: wiedziałem, jak się zachować, co mi wolno jako Żydowi powiedzieć, a czego nie wolno – a przy tym wszystkim ja byłem dobrym Polakiem. Na obozach harcerskich wciągałem polską flagę na maszt, na lekcjach recytowałem Mickiewicza, za patriotyczne wypracowania dawano mi piątki z polskiego, ciekawiła mnie historia Polski – no bo dziecko instynktywnie szuka jakiejś bazy pozytywnej. A żydostwo w domu mojego dzieciństwa taką bazą nie było.

A jeszcze ja też bardzo Rosjan lubiłem. I rosyjskość. Bo matka była Rosjanką (a właściwie rosyjską Żydówką z Białorusi, w Rosji się z ojcem poznali) i ona w dzieciństwie do mnie tylko po rosyjsku mówiła i mój pierwszy elementarz też był

właśnie rosyjski: *Bukwar*. A poza tym do nas w Legnicy Rosjanie do domu wpadali (nie wiem, czy ich rodzice poznali w Legnicy w rosyjskim teatrze, czy kinie, czy przez rosyjskie żony przywiezione tam przez innych Żydów?) – i ci Rosjanie przychodzili do nas po kryjomu. Wieczorami, im nie wolno się było spotykać z polską ludnością, a myśmy też nie chcieli pokazać Polakom, że ich przyjmujemy – i ja, rosnąc w tym, miałem dużą admirację dla rosyjskiego wojska i munduru. Na płocie oddzielającym naszą szkołę od radzieckiego garnizonu wysiadywałem, wrzeszcząc: „Diadia, daj zwiezdoczku!”, i oni mi dawali pięcioramiennie gwiazdy, a dla małego chłopca to jest wielka rzecz! A jak potem zostałem harcerzem, to z Rosjanami zawsze umiałem załatwić dla naszej drużyny namioty czy telefony. Z polskiego wojska, jak tam z prośbą szliśmy, to nas często wyrzucali i wtedy ja maszerowałem do rosyjskiego pułkownika, po rosyjsku mu mówiłem, czego potrzebujemy – i od razu w ciężarówce sprzęt nam przywozili. Chcąc pokazać, że tak pomagają polskiej populacji.

*

Na religię – jak ją w szkole wprowadzili – na początku chodziłem. Ani matka mi nie powiedziała, że mogę nie chodzić, ani ojciec (choć jako komunista uważał, że religia to „opium narodu”). Byłem w mojej klasie jedynym Żydem, wszyscy to wiedzieli, ksiądz wiedział też (on mnie nawet lubiał, młody ksiądz – po lekcjach graliśmy z nim w piłkę nożną). Czy myślałem coś na temat tego, co tam mówiono o Bogu? Pewnie tak: że to nieprawda. Ale co człowiek wie, jak ma dziesięć lat, a w domu żadnej przeciwwagi, żadnej *counterbalance*?

W piątej klasie oświadczyłem jednak księdzu nagle, że jako Żyd nie powinienem chodzić. Ksiądz na to spokojnie: „Nie chcesz, nie trzeba” – i nadal graliśmy razem w piłkę po lekcjach. A moja kategoryczność spowodowana została prawdopodobnie przez Jaszkę i Borysa – nowych kolegów, żydowskich repatriantów z Rosji, którzy po pięćdziesiątym szóstym roku przyjechali do Polski i zamieszkali z rodzicami w Legnicy. Oni mieli absolutnie otwarty stosunek do swojego żydostwa. Nie robili sekretu, że są Żydami (i mnie to imponowało), z rodzicami w domu tylko po żydowsku rozmawiali – i ja, przebywając z nimi, zacząłem już trochę wyczuwać to żydowskie poczucie humoru, dowiedziałem się, że jest święto Purim, i że Szolem Alejchem był, i Perek, i poety – zaczynałem rozumieć, że Żydzi to nie był ktoś z niczym, ale pokolenia całe, które zostawiły ślad w kulturze.

I jeszcze Jaszka i Borys przywieźli ze sobą tę szczerą rosyjską: że jak ktoś cię lubi, to cię lubi, a jak nie, to powie i nie będzie zawijał. Mnie to w nich bardzo ujęło i oni wkrótce stali się moimi najserdeczniejszymi przyjaciółmi (bo ja przedtem nigdy nie miałem bliskiego przyjaciela między Polakami – w sensie, że ty byś oddał życie za niego, a on za ciebie). I tylko smutna była taka perspektywa, że wkrótce oni wyemigrują do Izraela. I kiedy trzy lata później tam rzeczywiście wyjeżdżali, to Borysowi podarowałem mój najlepszy album ze znaczkami pocztowymi. Najlepszy.

*

Po podstawówce uparłem się, że pójdę do szkoły żydowskiej. Mama była przestraszona, że to taki już absolutnie jawny pokaz naszego żydostwa, ale ojciec to popierał. I chyba czuł się ze mnie trochę dumny.

Matka z ojcem się w ogóle w wielu sprawach nie zgadzali. Stanowili takie typowe niedobre wojenne małżeństwo: spotkali się w Rosji, on polski Żyd, ona Żydówka rosyjska, zrobimy życie, dlaczego nie? – ale pochodzili z różnych światów i niewiele mieli ze sobą wspólnego. Mama po wojnie od razu chciała jechać z Polski jak najdalej (bo w Polsce wojna co pokolenie jest, więc jak w takich warunkach można chować dzieci?), ale ojciec ją przytrzymał. On się w Polsce dobrze czuł, przychodziło do niego dużo Żydów na dyskusje polityczne, robotnicze przeważnie, i rozprawiali o polityce, co jest lepsze dla robotników i co mają robić w tej ich spółdzielni żydowskiej w Legnicy, gdzie szyli ubrania i czapki (to upodobanie do dyskusji ojciec jeszcze wyniósł z przedwojennego domu rodzinnego w Dobrzyniu nad Wisłą, gdzie bieda i dziewięcioro rodzeństwa było i każdy młody chciał się wyrwać z tego sztetlu, i nadzieje pokładał w lewicowości – ojciec mój nawet chciał jechać walczyć do Hiszpanii...).

Więc mimo oporów matki poszedłem do liceum żydowskiego. Było najmniejsze z trzech liceów w Legnicy – ale nie najslabsze. Wygrywaliśmy nieraz olimpiady matematyczne, byliśmy mocni w historii, w geografii i biologii – różnicy wielkiej między naszą szkołą i normalną polską szkołą nie było. Działał u nas ZMS (ja byłem przewodniczącym!), działało harcerstwo (organizowane przez TSKŻ, ale takie samo jak wszędzie: mundurki, polska flaga i tylko na obozach jedzenie lepsze, bo dotowane przez Joint), na lekcjach, tak jak w każdej szkole, przerabialiśmy Mickiewicza (na maturze dostałem z niego piątkę), mówiliśmy o wojnie (ale nikt nam nie podkreślał, że główną ofiarą byli Żydzi! – uczono nas, że to Polska była ofiarą, i akcentowano rolę walk Armii Ludowej). Z nauczycielami nigdy nie prowadziliśmy dyskusji na tematy polsko-żydowskie. Między sobą również o tym nie mówiliśmy, a z przedmiotów żydowskich uczono nas tylko języka jidysz i historii Żydów (w tym trochę wiedzy o literaturze żydowskiej). Nie wspomniano słowem o Izraelu, o religii żydowskiej, Torze czy o Salomonie – a kiedy raz w ramach lekcji historii Żydów pokazano nam jako ciekawostkę dom modlitwy w Legnicy i jak zobaczyłem, że tam starzy ludzie w jarmułkach i z brodami trzymają w rękach jakieś krzaczki i nimi trzęsą! (bo to właśnie taka była ceremonia w święto Sukot), to poczułem się, jakbym gdzieś na Marsie wylądował!

I zacząłem się śmiać, i mnie stamtąd wyrzucono.

Do jakiego stopnia to wszystko było kontrolowane – nie mam pojęcia. Dyrektor był Żydem, ale nauczyciele to Polacy uczący również w innych szkołach, polskich. Niektórzy z nich nie patrzyli na nas jak na polskich uczniów i traktowali dosyć ulgowo („A, to są Żydzi, niech tylko zaliczą”), ale inni starali się w nas zaszcześcić polski patriotyzm i szacunek dla Polski. Szczególnie profesor historii: uczył nas, że kultura i historia Polski są częścią kultury i historii świata, i mówił to nie w sposób nacjonalistyczno-fanatyczny, tylko podawał przykłady, że Kościuszko i Pułaski walczyli w Ameryce, że Polska coś udzieliła światu, zwłaszcza jeśli chodzi o tradycje demokratyczne – że jest ten kontrybut Polski.

I mnie było przyjemnie słuchać, że w polskim narodzie jest grupa ludzi wyższa i bardziej światła od reszty.

*

Po maturze poszedłem na dwuletnie studium nauczycielskie w Opolu. Ukończyłem je ze specjalizacją „zajęcia praktyczno-techniczne” i „wychowanie plastyczne” – po czym przenieśliem się do Wrocławia, żeby uczyć tam w żydowskiej szkole.

We wrocławskiej żydowskiej szkole atmosfera była zupełnie inna niż w mojej w Legnicy. Do wrocławskiej szkoły chodziło dużo dzieci różnych szyszek żydowskich z TSKŻ-tu albo szyszek partyjnych, tam się zawsze wiedziało, czyj ojciec jest w partii, czyj ma sklep na Świdnickiej, a jakie dziecko jest z rodziny lekarskiej. Sporo było uczniów zarozumiałych, rozwydrzonych, zupełnie innych niż ubogie dzieci ze szkoły legnickiej. Tym z Wrocławia łatwiej przychodziło piątki dostawać, bo życie mieli lepsze, niektórzy podróżowali już za granicę do Francji, Czechosłowacji, więcej wiedzieli i ubrani byli lepiej. Była tam też i inteligentna młodzież, zainteresowana nauką – więc miałem z tej pracy sporo satysfakcji. A po południu jeszcze pracowałem jako instruktor rysunków w TSKŻ-cie. Zrobiliśmy galerię rysunków dziecięcych, piękne wystawy, sam burmistrz Wrocławia przyjeżdżał oglądać. I byłem też kierownikiem internatu szkoły żydowskiej – co razem stanowiło trzy etaty, w tym mieszkanie za darmo (bo w internacie), wyżywienie za darmo (bo w internacie), za każdą z tych trzech prac jeszcze mi płacili – złote życie!

Satysfakcja finansowa duża była.

Pracując w internacie, widziałem, jak duży kontrast był między żydowskimi dziećmi z Wrocławia i tymi z internatu, które do Wrocławia przyjechały ze swoich małych miasteczek. Bo one były biedniejsze, mniej ofensywne, gorzej się uczyły, ale za to więcej pracowały i zachowywały się grzeczniej – i ja je przez to lubiłem i bardzo szanowałem. A latem byłem wychowawcą na obozach żydowskich. Wcześniej często i chętnie jeździłem tam jako chłopak, uczestnik i bardzo podobała mi się atmosfera i taka specyficzna kulturowa kombinacja elementu polskiego, żydowskiego i rosyjskiego: to śpiewanie piosenek polskich, żydowskich i rosyjskich na zmianę. Kiedy jednak już byłem wychowawcą, to miewałem problemy z naszymi chuliganami (choć w ogóle dzieci mnie lubiły). Bo gdy na przykład w czasie rajdów przechodziliśmy koło kościoła, to chłopaki potrafiły tam wrzucić mydło do studni albo rąbnąć mikrofon z ambony i ja potem się musiałem wstydić i tłumaczyć. Jeszcze w dodatku jak z kradzieżą mikrofonu podejrzenie padło na nas, to ja byłem oburzony, chodziłem do księdza i go zapewniałem, że tego na pewno nikt z naszych nie zrobił – a potem jednak okazało się, że to nasz... Jeszcze do dziś chamstwo u Żyda mnie boli więcej niż chamstwo u kogoś innego!

A potem z wrocławskiej szkoły żydowskiej przenieśliem się do polskiej – pokazowej, eksponowanej i popieranej przez partię Szkoły Wojsk Układu Warszawskiego. Tam mi lepiej płacili, dali piękne laboratorium techniczne i całe nowe wyposażenie, i premier przyjeżdżał z wizytami, i partyjniacy, i oficerowie – ale młodzież w tej szkole już nie była taka inteligentna i ekskluzywna. Przeciwnie: robotniczy element, statusem

społecznym przypominający legnickie dzieci z mojej żydowskiej szkoły (albo dzieci z internatu we Wrocławiu). I co ciekawe, że oni byli bardzo zależni od Kościoła. Jak coś się działo w kościele, to nigdy w tej pokazowej komunistycznej szkole nie robiono w tym samym czasie zebrania dla rodziców (boby i tak nikt nie przyszedł). A jeśli jakiś uczeń źle się zachowywał, to nauczyciel porozumiewał się z księdzem i prosił, żeby z rodzicami porozmawiał – i na ogół pomagało.

LEON GUTMAN

(tekst autoryzowany pod koniec lat dziewięćdziesiątych)

Mysłowice

Ja się rodziłem w szpitalu żydowskim w Bytomiu. Bo w Bytomiu do pięćdziesiątego roku był żydowski szpital z rytualnym rzezakiem, i jak matka zaczęła mieć bóle porodowe (a ojca wtedy akurat w domu nie było), to ciotki, siostry mamy, wsadziły ją u nas w Mysłowicach do tramwaju i tym tramwajem na poród aż do Bytomia zawiozły. Nie było mowy, żebym się mógł urodzić gdzie indziej! To musiało być w żydowskim szpitalu i musiałem zostać rytualnie obrzezany.

W Mysłowicach ojciec prowadził jatkę mięsną. Ona nie była koszerna, ale jak ktoś ojca poprosił, to jechał do Krakowa załatwić mięso koszerne dla Żydów z Mysłowic. Było ich wszystkiego dwanaście, może czternaście osób. W soboty i w żydowskie święta myśłowiccy Żydzi szli trzy kilometry na piechotę do bożnicy w Sosnowcu (trzeba było iść, bo religijni Żydzi w szabas i w żydowskie święta nie jeżdżą). Po drodze wstępowałam do rodziców Reni, mojej późniejszej żony (mama Reni gotowała świąteczne potrawy dla bożnicy), a w drodze powrotnej wszyscy przychodzili do nas (większość w wieku rodziców, często także starsi).

Żydzi w Mysłowicach nie mieszkali obok siebie (bo Mysłowice to dość duże miasto), ale kontakt między nami był ścisły, prawie jak w rodzinie, i ja do nikogo z tych Żydów nie mówiłem inaczej niż „wujku” i „ciociu”. Choć nie wszystkich lubiłem, bo na przykład jeden z nich, szewc, z takim upodobaniem boleśnie zawsze szczypał mnie w ramię, że jak ojciec mnie czasami po coś do niego posyłał, to potem z płaczem do domu przylatywałem i miałem siniec (więc jak ten szewc w latach pięćdziesiątych wyemigrował, odetchnąłem z ulgą).

W Mysłowicach ja byłem jedynym żydowskim chłopakiem. I w ogóle jednym z nielicznych żydowskich dzieci (poza mną tylko parę dziewczynek żydowskich tam mieszkało). Bo Żydzi obawiali się po wojnie rodzić dzieci: organizmy słabe, wycieńczone po obozach – wiadomo, czy z tego nie wyjdą kaleki? Moja mama po mnie bardzo chciała mieć jeszcze jedno dziecko, ale ciotka do niej mówi: „Zwariowałaś?! Nie wiadomo, co ci się urodzi, dziękuj Bogu, że jedno masz zdrowe!”.

Żydzi myśłowiccy wciąż emigrowali. W pięćdziesiątym czwartym wyemigrowały dwie starsze ode mnie żydowskie dziewczynki z rodzicami – i pamiętam wieczór pożegnalny: płacz, rozpacz! Miałem siedem lat i też rozpacziałem, że już więcej tych dziewczynek nie zobaczę. I zaraz po tym wieczorze oni o piątej rano już pojechali. I dobrze, że o piątej, a nie później! Bo o szóstej już milicja u nich była, bo tata tych dziewczynek nielegalnie handlował walutą i gdyby się nie ulotnił, toby go wsadzili.

*

Garstce Żydów myśłowickich na ogół powodziło się lepiej niż Polakom. Bo mimo że wyszli z ziemianek, przywlekli się z obozów wycieńczeni i wymęczeni, to jednak towarzystwo się pourządzało. Ktoś miał sklep mięsny (jak ojciec). Ktoś był kierownikiem rzeźni, ktoś radcą prawnym, ciotka moja miała kiosk „Ruchu” w ajencji, a jej mąż był krawcem.

Ojciec, prowadząc tę jatkę mięsną, potrafił żyć z władzą ludową. W latach pięćdziesiątych, kiedy mu upaństwowili sklep, został tam kierownikiem, a moja matka sprzedawczynią. Niestety po upaństwowieniu rodzice nie mogli zamykać sklepu w szabas i w święta żydowskie, musieli pracować wbrew zakazowi żydowskiej religii i z czasem coraz mniej się u nas tych zakazów i nakazów przestrzegało. Ojciec głównie zachował ten, że cały czas nosił czapkę na głowie: i w sklepie, i w domu. Żydzi w Mysłowicach byli przez Polaków szanowani. Ojca ciągle Polacy o pożyczkę prosili: „Pożycz, Gutman, będę miał, to oddam” – i ojciec pożyczał. Dawał też mięso na kredyt – często przychodziły do niego kobiety, których mężowie przepijali pieniądze: – Gutman, nie mam co do garnka włożyć, dzieciaki głodne! – Masz. Będziesz miała pieniądze, to oddasz. W naszym domu (on stał w samym rynku) byli oprócz nas sami Polacy. Mnie wychowywała sąsiadka-Polka, nie musiałem chodzić do przedszkola (samotna z trzema synami, jej mąż zginął na wojnie wcielony jako Śluzak do Wehrmachtu). Ojciec często jej ze sklepu jakiś kawałek mięsa przynosił. W żydowskie święta dostawała od nas rybę, a jak miała Wigilię, byliśmy tam zawsze zapraszani. Ja czas zwykle spędzałem z dziećmi katolickimi. Ich rodzice, Śluzacy, byli w czasie wojny przymusowo wcieleni do Wehrmachtu, a teraz my, dzieci, bawiliśmy się w wojsko. Strzelaliśmy karabinami zrobionymi z patyków i w czasie tych zabaw dzieci katolickie zawsze przyjmowały role Niemców, były niemieckim wojskiem – a ja musiałem być Żydem. Nie chciałem! – ale oni mi kazali. I w zabawie słyszałem pokrzykiwania: „Ej, Żydzie, bo cię zabijemy!”. I dopiero kiedy tata zaczął dawać mi drobne pieniądze, wszystko się zmieniło: „Noo, Leon, my cię przepraszamy, tu-tu-tu-tu, weź ty nas na lody”. Dwóch tych chłopaków później mi jeszcze w szkole dokuczało: „Ty Żydzie, cebulą śmierdzisz, jedź do Palestyny, Hitler cię nie wykończył, to mój ojciec cię wykończy!” – i trwało to parę lat! Dopiero kiedy przeniesiono ich do szkół specjalnych (bo to były takie przerośnięte drugo- i trzecioroczniaki), odetchnąłem. Potem oni zresztą, w latach sześćdziesiątych, wyjechali z rodzicami do Niemiec.

*

W pierwszej albo drugiej klasie szkoły podstawowej wstąpiłem do harcerstwa. Bo mi to jeden z nauczycieli zaproponował. Przychodzę do domu, mówię: „Zapiszę się do harcerstwa!”, a ojciec:

– Harcerstwo? Ja wiem, co to jest! Hitlerjugend, hajoty! – nie będziesz mi w żadnym harcerstwie!

Ale ciotka – ta, co matce kazała mnie urodzić w żydowskim szpitalu – zaczęła go uspokajać: „Hitlerjugend co innego, a harcerstwo co innego”. Więc ojciec się zgodził, jedziemy do Katowic kupić mi mundurek, przymierzam w domu przed lustrem: mundur, chustka, czapka – a tu ciotka z kolei załamuje ręce:

– Och, jak ty mi przypominasz tych hajotów!”.

Ale machnęła ręką i już byłem w tym harcerstwie. I jak mi czasem rodzice za karę nie pozwalali jechać na biwak czy na wycieczkę, to drużynowy po mnie przylatywał: „Co jest?! A gdzie Leon?”, i mnie w końcu puszczali.

W harcerstwie oczywiście wiedziano, że jestem Żydem (bo na obozach w niedzielę wszyscy idą do kościoła, a ja nie). Ale instruktorzy tak to umieli zorganizować, żeby nikt mi nie dokuczał – i znalazłem tam prawdziwie przyjacielskie środowisko. Byłem drużynowym, później instruktorem, działałem jeszcze nawet po skończeniu technikum – i dopiero po siedemdziesiątym czwartym roku przestało mnie to interesować, bo wtedy harcerstwo zrobiło się polityczne, a nie skautingowe.

Na żydowskich koloniach natomiast czułem się dużo gorzej niż w polskim harcerstwie. Na żydowskich koloniach wciąż za mną wołano: „Gruby, gruby kręci śruby, śruba stęka, gruby pęka” (a ja rzeczywiście jestem gruby – nie zapomnę tego już do końca życia!). Na kolonii w Słupsku drużynę piłki nożnej ustawiał taki blondynek i on mnie ani razu nie wziął! Czekałem, pytam: „Kiedy?”, a on: „Nie grasz, bo jesteś za gruby!” (i znów wierszyk: „Gruby, gruby kręci śruby...”). Na następnej kolonii, w Hławie, też za mną tak wołano (bo dzieci z poprzedniej kolonii zapamiętały). Tam się wprawdzie zaprzyjaźniłem z kimś i już było łatwiej, tylko że ten mój kolega był na odmianę okropnie chudy, wysoki i miał odstające uszy, więc jak szliśmy razem, to kolonia pękała ze śmiechu! Więc tylko w kancelarii u kierownika siedzieliśmy i płakali. Całe trzy tygodnie kolonii przesiedzieliśmy u kierownika i przeplakali (teraz łatwo ci się śmiać!). A kiedy w dziewięćdziesiątym drugim roku, po ponad trzydziestu latach, spotkałem na Reuniecie w Izraelu tego blondynka piłkarza, co mnie nie wziął do drużyny, i mówię do niego:

– Pamiętasz? Gruby, gruby kręci śruby?

– Ojej, to ty jesteś?

– Tak! I się teraz porachujemy! Tu jest nóż od arbuza, uważaj!

Śmialiśmy się. Tyle lat...

LUBA TARCZYŃSKA

Szczecin

Czy myśmy – ja i trójka mojego rodzeństwa – w naszym dzieciństwie i młodości tych lat sześćdziesiątych o swoim żydostwie innym ludziom tak dobitnie mówili, jak to dziś robi moja córka Klaudia? Nie, nie pamiętam nic takiego. Myśmy w ogóle chyba tego nie mówili. Dlaczego? – nie wiem. Ma pani rację: pewnie dlatego że wszyscy wiedzieli i po prostu nie było potrzeby.

Tak, wszyscy w Szczecinie wiedzieli. Tylko, co wiedzieli? Nasz ojciec był Żydem – to wiadomo, że był Żydem. Dla nas w dzieciństwie ta rzecz była czymś normalnym, naturalnym, ale nie niosła z sobą żadnej treści, nie była związana z żadną tradycją, z żadnym obchodzeniem świąt czy synagogą. Owszem, zdarzało się, że na jesieni ojciec rzucił czasem: „A wiecie, dziś jest żydowski Nowy Rok!” – ale to było tak, bez żadnego świętowania. Myśmy się wtedy do ojca śmiali: „Tata, jak żydowski Nowy Rok, to prezenty nam tu szybko dawaj!” – i ojciec czasami rzeczywiście jakieś cukierki wyciągał. Ale to było tylko dla żartu: jako imitacja normalnego Nowego Roku albo Gwiazdki. Zabawa.

I gdyby nie to, że moim braciom dzieci na podwórku mówiły: „Ty, Mosiek, ty taki”, to tego żydostwa w ogóle by u nas w domu nie było! Ale ponieważ nas tak przezywano, to żydostwo było i znaczyło tyle, że to jest coś, co powoduje kłopoty. Zwłaszcza Heniek to wiedział, starszy z moich braci, bo to on najczęściej obrywał (dziwne zresztą: blondynek taki, a „Mosiek” ciągle za nim na podwórku wołali!). I on tych, co go przezywali, strasznie lał! Nigdy się w domu nie poskarżył, tylko bił. Natychmiast, gwałtownie, aż do krwi – na jednym chłopcu to wręcz rower połamał! A jak rodzice tych dzieci do nas potem na skargę chodzili, to nasz ojciec tylko pytał Heńka w drzwiach przy tych rodzicach:

– Za co?

– Bo mnie wyzywał od Mozków, Mojższy.

– On żyje?

– Żyje.

– Krzywdy mu nie zrobiłeś?

– Nie.

– To na drugi raz wlej mu tak, żeby popamiętał na całe życie!

Tamci rodzice reagowali zdumieniem, byli obrażeni: „No, jak pan tak mógł?!”, a ojciec im na to: „Mój syn nie lata za pana synem i nie woła za nim »parszywy Polaczek«. A jakby, nie daj Boże, tak zawołał, to bardzo proszę: niech pański syn zleje mojego”.

*

Nasze „beztreściowe” żydostwo było dla nas tym naturalniejsze, że w szkole, do której chodziliśmy – TPD nr 5, pierwsza TPD-owska szkoła w Szczecinie, bez nauczania religii – była większość żydowskich dzieci. I w mojej klasie na palcach jednej ręki można by się doliczyć Polaków czystej polskiej krwi! (a jak już, to bardziej byli zżydziali niż my Żydzi). I było naturalne to, że wszyscy w szkole są inteligentni i świetnie się uczą (a

najmądrzejszy Karol Goldfinger, dziś główny architekt Paryża, przez całe lekcje czytał książki pod ławką, żując przy tym bułkę, a kiedy go wywołano, odkładał książkę, odkładał bułkę i świetnie odpowiadał). I było także naturalne, że kiedy w liceum doszli do nas uczniowie z żydowskiej szkoły, to okazali się w nauce najlepsi. I było naturalne, że niektórzy z nich z powodów religijnych nie przychodzą na lekcje w soboty. I było naturalne, że po lekcjach prawie codziennie chodziliśmy do Klubu TSKŻ-tu (był blisko!), i że w szkole panowała atmosfera pewnej swobody i ograniczonej, choć niewątpliwie wyraźnej, bezczelności uczniów w kontaktach z nauczycielami (i to też miało jakiś związek z przewagą młodzieży żydowskiej w naszej szkole).

Myśmy czasem potrafili być bardzo bezczelni. I niektórzy nauczyciele tego nie wytrzymywali. Pamiętam, raz na rosyjskim, w jedenastej klasie, tak strasznie daliśmy się nauczycielowi we znaki naszym luzem i rozgadaniem, że biedak stracił w pewnym momencie kontrolę nad sobą, okropnie się zdenerwował i w jakiejś złości powiedział nagle, że ma już tego Niebuszewa po uszy! A pani, oczywiście, wie, o co to chodzi? Że Niebuszewo to dzielnica, w której dużo Żydów z transportów z Rosji po wojnie osiedlano. I sens tego był taki, że on ma dosyć już tej żydowskiej rozhukanej i hucpiarskiej młodzieży. Tak mu się wysnęło.

No a nam, oczywiście, tylko tego trzeba było. Ja wstaję i mówię (udając głupka): „A tu przecież siedzi ulica Parkowa, a tu siedzi ulica taka i taka” (bo nie wszyscy z nas, oczywiście, byli z tego Niebuszewa). I biedny ten nauczyciel już białej gorączki dostaje, każe mi wyjść natychmiast z klasy i przyprowadzić rodziców. A w chwilę potem za drzwi wylatuje mój kolega, Polak, bo się ujął za nami-Żydami: wytknął nauczycielowi, że tamten był nietaktowny. A potem mojego ojca do szkoły wzywają, on przychodzi, też udaje głupka: „Wie pan, panie profesorze, my faktycznie nie mieszkamy na Niebuszewie, córka mieszka w centrum miasta, a Niebuszewo przecież jest daleko, pan chyba się pomylił”...

Dziś, kiedy sama jestem nauczycielką, to widzę, że ten rusycysta miał z nami naprawdę ciężki los! I oczywiście on absolutnie nie był żadnym antysemitą. Tylko że my, w tej gromadzie, naprawdę musieliśmy być już nie do zniesienia.

*

W Klubie TSKŻ-tu, podobnie jak w szkolnej klasie, ja się dobrze czułam. Mieliliśmy zespół rockowy „Następcy Tronów”, ja pisałam niektóre teksty, oni grali, nawet czasami w radiu puszczano nasze piosenki. Organizowaliśmy prywatki, potrafiliśmy całymi godzinami siedzieć, rozmawiać, filozofować o świecie.

To była inteligentna młodzież. Mnie się zresztą wydawało często, że większość z nich jest mądrzejsza ode mnie.

W naszym Klubie ciągle wybijano szyby. Czy dlatego że prawie przez ścianę sąsiadował z kościołem? W każdym razie dla mnie to było bardzo nieprzyjemne i się dziwiłam, że

większość ludzi z Klubu przyjmowała to z zupełnym spokojem: „Wybita szyba, to się wstawi nową”. Taką jakąś pewność w sobie mieli: że my jesteśmy Żydzi, że jesteśmy „ponad to” – i chyba to była nie tylko pewność, ale i zarozumiałość jakaś, powiedziałabym. Bo oni byli bez kompleksów, z poczuciem własnej wartości, a nawet wyższości – a mnie to i dziwiło, i drażniło. Dlaczego: „My, Żydzi”? I dlaczego mamy być coś innego i lepszego?

Ja jednak byłam trochę inna niż moi koledzy z tego żydowskiego środowiska. Po pierwsze, oni byli inaczej wychowywani, ja byłam krócej trzymana („Godzina dziesiąta, masz być w domu, nie ma dyskusji!” – a oni całe noce na prywatkach spędzali). Po drugie, myśmy w rodzinie mieli niższy status materialny. Bo wśród Żydów szczecińskich wielu było majątnych, własne pralnie mieli, prywatne sklepy ze skórą, z futrami, a nasz ojciec, jak go wsadzili do więzienia, a potem wyrzucili z pracy jeszcze w czasach stalinowskich (bo jako sekretarz partyjny Zakładów Energetycznych coś źle wymyślił, jakieś usprawnienie techniczne, i oskarżono go o sabotaż), to został chałupnikiem, wyklejał w domu zabawki dla dzieci, myśmy mu w tym musieli pomagać, a i tak nieraz nam na książki do szkoły nie starczało.

A może moje poczucie odrębności wynikało stąd, że ojciec przez długie lata stronił od środowiska żydowskiego, mimo że zawsze czuł się Żydem, a nigdy Polakiem? Bo mówił, że szczecińscy Żydzi to handlarze i dorobkiewiczze i że w Polsce za wielu z nich pracowało dla UB. (sam już był antykomunistą, bo po tych paru miesiącach więzienia wyszedł stamtąd z gruźlicą i rzucił legitymację partyjną – a mama ręce z rozpaczki załamywała, bo w domu tyle dzieci i czasy takie niebezpieczne...).

A może przyczyną było to, że mieliśmy mamę-Rosjankę, którą ojciec przywiózł w czterdziestym szóstym roku z kaukaskiej wsi do Polski? Nie wiem.

Ja resztą nie tylko czułam się inna, ale byłam odbierana jako inna. Bo kiedy moi żydowscy koledzy zapraszali mnie do swoich domów, to parę razy się zdarzyło, że pierwszą reakcją ich rodziców było: „Ojej, gojka przyszła! Dlaczego on nam gojkę do domu sprowadził?”. I dopiero kiedy na boku dowiadywali się po cichu od syna czy córki, jak się nazywa mój ojciec, to lody pękały i się uspokajali.

Dlaczego brali mnie za gojkę? – nie wiem. Może to jest związane z tym, że człowiek nie ma rysów podobnych, ruchów, wyglądu? Bo jak patrzyłam na tę moją zaprzyjaźnioną ze szkoły i z Klubu grupę (z którą się bardzo dobrze czułam mimo naszych odmienności), to u nich te typowe semickie rysy, specyficzne nosy – z krwi i kości Żydzi! I widać było, że nie mają tak przemieszanej krwi jak ja, że tej rosyjskiej miałam pół na pół w sumie. I może moje imię rosyjskie też mnie trochę różniło? Albo coś z zachowaniem, albo w mowie?

Bo jednak sytuacja osób z rodzin takich jak moja jest skomplikowana i ja się nieraz zastanawiałam, jak to jest, że my, wiedząc więcej o rosyjskim pochodzeniu naszej mamy aniżeli o żydostwie ojca, nie czuliśmy żadnej przynależności do jej rosyjskiej kultury. Przecież mama zawsze nam mówiła, że jest Rosjanką! Nie czuła się Polką. Śpiewała rosyjskie piosenki, opowiadała po rosyjsku bajki, deklamowała rosyjskie wierszyki – jedliśmy jej rosyjskie barszcze ukraińskie i pierogi, cieszyliśmy się, jak pierwszego stycznia w Nowy Rok piekła ciasto, robiąc z tego dnia ważne rodzinne święto zgodnie z radzieckim zwyczajem.

A mimo to nie mieliśmy w sobie żadnego poczucia rosyjskości. Nigdy! Pamiętam, że kiedy było w radiu sprawozdanie z kolarskiego Wyścigu Pokoju pod koniec lat

pięćdziesiątych, to Heniek cały czas ryczał: „O kurczę, znów ten Rusek na pierwszym miejscu, żeby on się połamał, żeby się...” – i nasza mama, słysząc to, dosłownie płakała, że jej rodzony syn tak mówi! A on nawet przez chwilę wtedy nie pomyślał, że mama jest Rosjanką. Nawet przez moment nad tym się nie zastanowił!

Bo czuł się normalnie: Polakiem – jak my wszyscy na co dzień. Bo środowisko rodziców było polskie, sąsiadami też byli tylko Polacy, święta również obchodziliśmy polskie (tak trochę symbolicznie – jako ateści), ja zachwyciałam się polską literaturą romantyczną, od dzieciństwa marzyłam, że pójdę na polonistykę i będę potem uczyć tego w szkole.

I tylko pamiętam takie dziwne pytanie ojca (kiedy już wybierałam się na studia): „Czy nie dlatego idziesz na polonistykę, że jesteś Żydówką? Czy nie dlatego w tobie to zamiłowanie do polskiej literatury i polskiego języka?”.

Nie wiem, dlaczego według niego ku polskiej literaturze miałyby mnie pchać moje żydostwo. Czy podejrzewał – niesłusznie zresztą – że takie zainteresowanie wynika u mnie z poczucia niepełnej polskości? I co go do takiego myślenia skłoniło?

*

Swoją odmiennność od żydowskich kolegów odczuwałam przede wszystkim w kontakcie z ich rodzicami. Z nimi samymi prawie wcale nie! Bo to już była inna generacja. Oni nie szykowali się do przejęcia biznesów od swoich rodziców, nikt nie nastawiał się na posiadanie sklepu, wszystko się wybierało na studia do Szczecina, Poznania, Warszawy – nowocześni, otwarci na inność, nie chcieli się zasklepić tylko w swym żydowskim gronie i nie przejęli od rodziców tych okropnych przesądów, że żenić się można tylko z Żydem (co było tak ważne dla starszego pokolenia).

Pamiętam w tym kontekście taki dziwny ślub naszej koleżanki. Ona szalenie zakochana była w Polaku, niesamowicie zakochana, prawdziwa wielka miłość – ale jej żydowscy rodzice nie dopuścili do zawarcia tego mieszanego małżeństwa. I w końcu wychodziła za mąż za Żyda, i myśmy bardzo przeżywali rozłączenie siłą takiej pięknej pary!

Bo w naszym pokoleniu ten problem już w ogóle nie istniał. Mój chłopak-Polak na przykład znakomicie się w środowisku TSKŻ-tu zaaklimatyzował, chętnie tam spędzał czas również i beze mnie (kiedy poszłam na studia w Poznaniu) – a jak już braliśmy ślub, to wszyscy moi żydowscy koledzy bardzo mi gratulowali, natomiast starzy Żydzi po całym Szczecinie jęczeli:

– Co to za nieszczęście dla ojca, że ona za goja idzie! Co to za tragedia dla rodziny!
A mój ojciec tak wtedy się z tych szczecińskich Żydów śmiał!...